Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po **1½** kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

16. Lutego 1856. № 21. Rok trzeci.

Sierota wielkiego świata.

I.

(Ciąg dalszy).

Niepodobna-by nam zdążyć za Gustawem. Dopiero w jego pomieszkaniu, na halickiem, możemy go obaczyć. Wpadł z hałasem do pokoju, służący zerwał się na nogi.

— Ubierać, krzyknął, najparadniejszy mundur!

Służący począł znosić różne potrzebne rzeczy do ubierania, ale w niczem jakoś panu swemu nie mógł dogodzić. Guziki za mało się świeciły, złoto było za ciemne, koszula nie zbyt cienka. Wreszcie siadł do zwierciadła.

Pomieszkanie Gustawa było dosyć skromne, lecz w każdej drobnostce widać było pretensją i pewien rodzaj kokieterji, a że ta pretensja w skromnych dotąd występowała rozmiarach, było więcej skutkiem jego skromnej subsystencji, niżeli jednej z rad ewanielicznych.

Wreszcie wdział mundur, podkręcił wąsik, a zaciągnąwszy na ręce białe, paryskie rękawiczki, wykręcił się przed źwierciadłem, aby wszechstronnie o przyzwoitości swego ubrania się przekonać. Nie znalazłszy najmniejszego fałdzika ani na plecach, ani na piersi, uśmiechnął się z wielkiem zadowoleniem, a wylawszy jeszcze pół flaszki perfumy na siebie, zdawało mu się, że wszelkim wymaganiom wielkiego świata zadość uczynił. A że było powietrze wilgotne i śnieg pruszył, posłał do Żorża po remizę, aby i w tym względzie zwyczajom nie ubliżyć.

Za kilka chwil stanęła remiza przed nową kamienicą przy ulicy syxtuskiej a Gustaw wybiegł na schody.

— Jest pani hrabina w domu? zapytał lokaja.

— Nie wiem panie, pójdę się zapytać.

— A pan hrabia?

— Nie wiem, zapytam się.

Wkrótce powrócił służący i oznajmił gościowi, że go pan Alfred czeka.

— Czy w salonie?

— Nie, w swoim pokoju.

Z niesmakiem przeszedł Gustaw koło podwoi salonu i zbliżył się do drzwi tapetowych które mu służący otworzył.

Pan Alfred stał przed biórkiem i palił cygaro. Gustaw postąpił szybko ku niemu, wyciągając rękę do uścisku, ale pan Alfred strzepał pierwej flegmatycznie popiół z cygara, i po chwili dopiero podał mu dwa palce.

— Ah, mości poruczniku, rzekł przez zęby, witam. Cóż mi nowego powiesz? Jakże tam służba?

— Moje uszanowanie, panie hrabio, przyszedłem złożyć, odpowiedział Gustaw uderzony tak chłodnem przyjęciem.

Pan Alfred ukłonił się lekko głową i puścił kłąb dymu, który aż o piersi Gustawa się rozbił.

Zrozumiał Gustaw to obejście się i nabiegł krwią cały. Spojrzawszy po złotych guzikach munduru, koło których snuły się jeszcze siwe nitki dymu, rzekł z żartobliwym uśmiechem:

— Złoto próbuje się ogniem, panie hrabio.

— Ach przepraszam cię poruczniku, szybko odparł pan Alfred, lękając się złych skutków takiej przymówki, byłem zamyślony, mam kłopoty na głowie, człowiek nie wie, czy żyje..

— Przykro mi, rzekł Gustaw z tym samym uśmiechem, który dowodził, że postępowanie hrabiego doskonale zrozumiał, przykro mi, że w tak wyjątkowej chwili stałem się panu hrabiemu natrętnym. Lecz umiem oceniać takie chwile humoru i wiem, że najlepiej wtedy rozpędzić je konwersacją... Pan hrabia pozwoli że usiądę.

— Pan Alfred zgryzł cygaro, lecz odpowiedział grzecznie i z uśmiechem:

— Proszę, proszę, i o tem nawet zapomniałem.

— Przypomniały mi nogi moje, rzekł Gustaw siadając w fotel, robiłem dzisiaj kilka wizyt, a pan hrabia mieszkasz do tego na drugiem piętrze.

Przyszła kolej na pana Alfreda poznać się na tej przymówce.

— Zapewnie, odpowiedział, drugie piętro to trochę za wysoko, ale cóż robić, kiedy to już w naturze ludzi piąć się coraz wyżej... Ale cóż robić panie poruczniku, dodał z przymileniem, kiedy jednych do tego popycha fantazja, a drugich potrzeba. Znałem bogatych anglików w Paryżu, którzy naumyślnie leźli gdzieś aż nad dachy, aby się z ludźmi *d'en bas* nie zdybywać... Są i były dziwactwa, i każdy je ma w swoim sposobie, i pan je masz i ja je mam.

Rzekłszy to odszedł pan Alfred do okna, lecz za chwilę powrócił znowu na dawne miejsce. Gustaw po pierwszem swojem odurzeniu przyszedłszy do siebie, zrozumiał swoje położenie. Gniewał się, że w pierwszej chwili dał się unieść namiętnościom i kilka dotkliwych słów hrabiemu powiedział. Poznał teraz że to nie była właściwa broń dla niego. Zamyślił się na chwilę.

Niedługo jednak dał mu się namyślać pan Alfred.

— Dziwactwa, mówił dalej, mamy wszyscy, chodzi tylko o to, komu te dziwactwa szkodzą a komu nie. A nic tak ludziom bardziej nie szkodzi, jak dziwactwa z fantazji. Wierz mi panie Gustawie, fantazja w młodych głowach, jest to trucizna życia. Znałem ja wiele ludzi na świecie. Jeszcze gdy na taką fantazją zachoruje człowiek bogaty, to najwięcej że się zadłuży po uszy i potem kilka lat kwaśne mleko na wsi zajada. Ale gdy na nią zachoruje taki, co z pracy żyć i pracą czegoś w świecie dobijać się musi, to już mu naprzód można requiem zaintonować.

— Cóż pan hrabia chcesz przez to powiedzieć? zapytał się Gustaw, jeszcze mocniej zdziwiony taką perorą.

— Nic, wcale nic, odpowiedział pan Alfred, ot plecie się, aby mówić o czemsić... Najlepsza jest jeszcze fantazja, która pochodzi z obfitości dostatków, ale zgubna jest ta, co pochodzi z pragnienia za temi dostatkami. Tak na przykład, ja znam pańską pozycją i pańskie skromne dochody. Wiem co za to mieć można, a czego nie można. Cóżbym sądził o panu, jeżlibyś nagle nie chciał chodzić po bruku, tylko kazałbyś się wozić w remizach... nie chciałbyś siedzieć na parterze, ale w loży, nie kontentowałbyś się uprzejmem pozdrowieniem na ulicy, ale pchałbyś się w salony, gdzieby się na ciebie krzywiono, i gdzieby ci może ręki nie podano? A cóż dopiero mówić o innych zachceniach, które często młodą głowę opanują?

Tu spojrzał pan Alfred na zegarek. Gustaw spostrzegł to, ale nie chciał odchodzić, nie odpowiedziawszy panu Alfredowi. Lecz jak na nieszczęście żadna stosowna odpowiedź nieprzychodziła mu do głowy, tak niespodzianie uderzył w niego ten piorun. Kilka chwil w salonie pana Alfreda przepędzonych zburzyło nagle wszystkie jego zamki napowietrzne, które rozprysły się i znikły jak bańki mydlane.

— Bardzo słusznie, mówiłeś pan hrabia rzekł po chwili, taka fantazja jest to prawdziwa choroba duchów słabych i nieudolnych, co niemając same przez się żadnej wartości, chcą się w podobne błyskotki ustroić, aby z niemi przejść kwarantanę salonów. Bardzo słusznie zaglądacie panowie z zawiścią do każdej zamkniętej remizy, bo w zamkniętej remizie może i małpa wjechać na salony. I dodać potrzeba, że się to im zbyt często wydarza. Jacyś to źli i przekupni celnicy muszą tam być na straży!

— Zapewnie... ale...

— Ale jeśli kto ma zdrowy i niepośledni rozum, przerwał Gustaw hrabiemu, o czem wszyscy ludzie wiedzą, i jeśli taki człowiek pozwala sobie w życiu lepszego komfortu i remizą czasem wyjedzie, to widać, że ma środki po temu i że ta fantazja pochodzi więcej z dostatku, niżeli z pragnienia pozorów. A na takiego, gdy wyjdzie na salony, nie lada kto skrzywić się odważy. Zazwyczaj krzywią się na tego co się wkrada, a nie na tego co wstęp sobie zdobywa.

— Zapewnie, i pan masz słuszność, mówił pan Alfred, którego śmiałość Gnstawa już zbiła z toru, zapewnie, ja temu nie przeczę.

— Czy mogę paniom złożyć moje uszanowanie, rzekł Gustaw wstając z fotelu.

— Moja żona poszła do kościoła. Przepraszam.

Gustaw skłonił się grzecznie lecz trochę sztywno i wyszedł. Wsiadając do remizy, kazał naumyślnie przed oknami pana Alfreda nawrócić, aby go widziano.

Wysiadłszy z hotelu, wszedł do sali jadalnej. Była to wprawdzie pora obiadowa dla małego świata, ale w hotelu odbywały się dopiero śniadania. Gustaw był za nadto rozdrażniony, aby mógł myśleć o jedzeniu. Wszedł do sali bez myśli i bez celu, bo niemiał gdzieindziej pójść, a brata niespodziewał się teraz w domu zastać. Długo stał przed nim garson z kartą w ręku, i stał dopóty, póki jakiejś przekąski nie wybrał, aby się usługi jego jak najprędzej pozbyć.

Siadłszy przy osobnym stoliku, podparł ręką głowę i zamyślił się.

— *Bon jour*, krzyknął mu ktoś do ucha, i w tej chwili Gustaw uczuł, że go ktoś samsonowską siłą za ramiona pochwycił. Długo musiał się szamotać, musiał wykręcać głowę to na prawo to na lewo, a ukryty za plecyma nieprzyjaciel tak zręcznie umiał wzroku jego unikać, że dopiero po długiej walce mógł Gustaw swoją ciekawość zaspokoić.

— Nieco rubaszny, mocno już szpakowaty dandys śmiał się na całe gardło, aż szyby w sali brzęczały, i ocierał z czoła pot chustką jedwabną.

— A toś mnie zmęczył poruczniku, zawołał, za to musisz ze mną wypić butelkę *bordeaux*.

Szpakowaty dandys usiadł koło Gustawa. Była to znajomość hotelowa, z sali jadalnej. Mówią, że człowiek w chwili dobrego obiadu jest zdolny do uczuć najszlachetniejszych a nawet i od ofiary się nie cofnie. Może z tej samej przyczyny przy wielkich kwestjach politycznych wyprawiają dyplomatyczne obiady i uczty, bo wtedy najłatwiej o zgodę. Zaiste gdyby rząd jakiej Ikarii zadekretował wspólne obiady, jak zadekretował wspólne pieczenie chleba, toby w całym kraju była zgoda i jedność, naród stałby się tak jednolitą masą, jak zupa rumforcka, o której biedni tylko wyobrażenie mieć mogą. Zniknęłyby różnice stanów i opinij, a przyjaciele niezachwianego porządku obchodziliby z wielką pompą pogrzeb ostatniego członka opozycji. Jakichże cudów nie dokaże ów prawdziwie kosmopolityczny żołądek?

Takiegoto pochodzenia była znajomość Gustawa z szpakowatym dandysem, którego na prędce Trytonem nazwiemy.

— Jakże się bawisz poruczniku, przemówił do Gustawa, karnawał się rozpoczyna, porobiłeś jakie znajomości w stolicy? Aby się w karnawał bawić we Lwowie, to trzeba koniecznie znajomości domów, przez które wszędzie dostać się można.

— Przyznam się panu, odpowiedział Gustaw, że dotąd miałem inne wyobrażenie o naszym kraju, i boli mnie, żem się rozczarował.

— Aha! tak śpiewa każdy, co się chowa za granicą, i wcale się temu dziwić nie trzeba. Ja naprzykład, gdy młodym jeszcze chłopcem przyjechałem do Paryża, to we dwa tygodnie obiegłem wszystkie salony tego Babilonu,

zacząwszy od bramy St. Martin, aż do pałacu w St. Germain. Lecz u nas to wcale co innego! Tam wystarczy biała krawatka i *chapeau mecanique* pod pachą, i jakie takie nie zbyt twarde imię, któreby Francuz bez zgrozy mógł wymówić.

Mimo tego nie miał pan Tryton ani szyi do białej krawatki, ani na głowie jego nie osiedziałby się żaden *gibus mecanique*. Ale za to było coś na jego czole, co trzymało środek między odwagą a efronterją. Zdaje się że za pomocą tego talizmanu przeszedł przez wszystkie salony, zacząwszy od bramy St. Martin, aż do pałacu St. Germain, zdaje się, że nie wiele tam znalazł trudności, jeźli się nie tak bardzo do ich manier zastósowywał i taki sam z nich wyszedł, jakim niegdyś wychodził w świat z jasielskiej swojej ojczyzny. Tym sposobem znalazł się nagle na stanowisku między salonem a dworkiem szlacheckim, między ekwipażem a najtyczanką, między lożą a parterem. Tu i tam podawał ręce, jeśli tego kto zażądał, i oddalonych pozycją, zbliżał do siebie. Był on owym hakiem, łączącym ogniwa łańcucha towarzyskiego, który wszystko wyciąga, i którego każdy bezpiecznie uczepić się może. Wszędzie można go było widzieć, w kasynie i w kawiarni, tam palił regalia, tu grajcarówki, u Żorza pił bordeaux, pod jabłkiem piwo, i nie czynił wcale tego z wyrachowania, ale z przypadku i okoliczności.

— U nas wcale co innego! powtarzał Tryton nalewając kieliszki.

— Cóż więc może tutaj wprowadzić na salony! Nauka, wykształcenie!..

— Gdzie tam!

— Zasługa osobista, talent znakomity?

— Wcale nie!

— Wysoki stopień urzędu, lub ranga?...

— Bardzo rzadko!

— Dobre ułożenie, maniery?..

— Z tych rekrutują czasem salony danserów i chórzystów.

— Więc jest to świat szczelnie zamknięty, zabity deskami!...

— O wcale nie. Wszędzie można się dostać, tylko jak to zazwyczaj na świecie bywa, trzeba wstęp okupić. A wstęp okupuje się różnym sposobem. Jedni włażą przez plecy młodych lwów, drudzy przekradają się pod rańtuchem lwic starych. W pierwszym razie potrzeba na to nie mało pieniędzy, w drugim razie wystarczy ładny wąsik, twarz rumiana i nieszpetna figura. Z tych dwóch sposobów musisz jeden wybierać, inaczej pozostanie ci tylko szynk i kawiarnia... Dezyderciu! Dezyderciu! krzyknął nagle Tryton zwracając się do nowego gościa.. Przepraszam cię poruczniku, na moment.... mój dobry przyjaciel...

Przyjaciel, Dezydercio, był to luby sześćdziesiolęcietni chłopaczek z rudą peruczką i małemi czerwonemi oczami. Trzymał się garbato i sunął nogami, jakby miał na nich kajdany sześciofuntowe.

— Kondoluję cię Dezyderciu, wołał Tryton, dostałeś odkosza! ha, ha odkosza, taki ładny chłopiec.

— Pleć, pleć sobie, odpowiedział Dezydercio, będziesz miał na jarmark koszałki i opałki!

— Na imieniny Edmunda zjechaliście się u Alfreda, a tyś się kopnął do panny Ofelii! nie prawda?.. Powiedz jak ci odpowiedziała?

— Byłaby poszła za mnie, gdybym się nie był poszczycił twoją znajomością!

Towarzystwo śniadaniowe parsknęło ze śmiechu, a nawet głos Trytona nie mógł go przygłuszyć, odpowiedź jego przepadła jak strzał śród bitwy.

— Panna Ofelia, ta bogata wołynianka? zapytał się z drugiego stołu młodzieniec, którego blond włosy i mały nosek plemiennego renegata oznaczały.

— Widziałem ją dzisiaj w domu Alfreda, odpowiedział Tryton. Wygląda coś na bonę, tylko sznur dzieci do niej przyczepić. Ale za to Jadwiga, córka Alfreda, to dziewczynka *ff*!

Podczas gdy całe towarzystwo to *ff* w duchu rozbierało, obejrzał się Tryton za Gustawem, ale Gustawa już w sali nie było. —

Tymczasem w pomieszkaniu Adolfa odbywała się wcale inna scena. Malarz stał przed wielkim, olejnym obrazem z gąbką w ręku i obmywał brud z niego.

— To Weroneńczyk! rzekł z radością na twarzy, to oryginał, patrz to niebo, jak przeźroczyste, ile powietrza jest tam! Był-to zapewne szkic do platfondu, bo ta ręka i te nogi są rysowane w skróceniu. Ach, ja się w jego obrazach kocham, będzie to moim skarbem. Wyczyszczę, i zawieszę jako relikwją w mojej pracowni.

Adolf patrzał z boku na malarza, i cieszył się z jego rozmiłowania w sztuce. Był w bardzo dobrym humorze, bo malarz nagadał mu tyle pięknych rzeczy o wieczorze wtorkowym, tyle z niego wyniósł zachęty i ukojenia, o tyle bogatszym stał się w zasób uczuć przyjaźnych i prawdziwie braterskich, że Adolf już o jego zupełnem nawróceniu się wcale nie wątpił.

Kilka chwil po odejściu malarza, wpadł Gustaw do pokoju.

Adolf przestraszył się jego wejrzeniem. Była w niem jakaś myśl okropna.

— Adolfie, zawołał, rzucając się na sofę, dzisiaj ty tylko pozostałeś przy mnie. Nie zechcesz abym upadł!

— Cóż takiego, zapytał spiesznie Adolf.

— Odepchnięto mnie! Zamknięto przedemną drzwi na zawsze!..

— Czy cię nie przyjął pan Alfred?

— Wolałbym, aby mnie był nie przyjął!

— Czy był niegrzeczny?... A wtedy sam sobie winieneś, żeś zapomniał...

— O nie zapomniałem wcale o szabli, ale do tego nie przyszło, bo zręcznie tego unikał. Zresztą toby na nic się nie przydało!

— Jakże to się stało? Widziałeś się z Ofelią, z hrabiną? On był dla mnie taki grzeczny.

— A mnie wprost powiedział, czyli dał do zrozumienia, abym się nie piął tak wysoko, jeśli ku temu nie mam środków!

*

Adolf przeszedł się kilka razy po pokoju, a stanąwszy przed bratem rzekł:

— Przewidywałem to, a nawet w Sobkówce ci o tem mówiłem. Byłoby lepiej, żebyś był zaraz niepodobieństwo swoich zamiarów uznał, ale jeśli już tak daleko zaszedłeś, nie należy się wracać, niespróbowawszy sił swoich. Ofelia cię kocha, o tem jestem przekonany, chodzi tylko o to, czy te przeszkody, które ci na drodze stanęły, masz przełamać, czyli je obejść.

— Do obejścia potrzeba czasu, a czas kosztuje wiele! Jestem gotów na wszystko, gdyby nawet przyszło i kark złamać!

— To jej nie kochasz Gustawie! Chcesz tylko ją posiąść albo przed nią upaść, nie dbasz co się z nią po twym upadku stanie!

— Mąci mi sie w głowie, przed oczami mi czarno, Adolfie, ja nie wiem co mówię! Ale prędko, prędko trzeba rozpocząć.

— Czy masz jaki sposób?

— Mam, mam najpewniejszy sposób, tylko potrzeba mi na to pieniędzy, i to wiele pieniędzy!

Adolf zamyślił się na chwilę, a otworzywszy biórko, wyjął z niego kilka biletów bankowych. Dając je bratu, zapytał się go:

— Czy ten sposób jest pewny i... uczciwy?

— Najuczciwszy w świecie, bo idzie tylko o wyrzucenie pieniędzy, na wkupno.

W tej chwili rozwarły się drzwi z łoskotem. Do pokoju wpadł Edmund.

— Gustawie, kochany Gustawie, krzyczał już z progu, ja cię szukam, rozbijam się za tobą, ani cię znaleść... A, przepryszam pana, dodał odwracając się do Adolfa, chciałem i panu służyć!

Adolf przysunął gościowi krzesło i powiedział mu kilka słów grzecznych!

— Czy przypomniałeś sobie o mnie? zapytał Gustaw z wyrazem ironii.

— Dalipan, że myślałem ciągle o tobie. Matka, Ofelia, Jadwiga, wszyscy mówią często o tobie.. Oto taki mam interes: Urządzamy tutaj sobie przejazdki konne, więc angażujemy ciebie do towarzystwa. Czy masz ładne konie?... ja kupuję sobie wózek, pójdź, okażę ci.

Gustaw spojrzał na brata. Twarz jego jaśniała radością.

Edmunda uściskał i ucałował jako posłannika opatrzności.

C. d. n.

Prośba.

Orły, sokoły!
Dajcie mi skrzydła!
Gruz i popioły,
Ziemia mi zbrzydła.

Ja bym chciał w górze
Pohulać z wami,
I tam na chmurze
Żyć piorunami!

Tu mi jak w trumnie
Świat nie wesoły,
Spuśćcie się ku mnie
Orły, sokoły.

Choć duszę weźcie
Na wasze loty,
I ją zanieście
W marzeń kraj złoty!

Na niebios progu
Między gwiazdami,
Ja bym tam bogu
Modlił się z wami.

A tu żałobą
Pokryte doły,
Weźcie mię z sobą,
Orły, sokoły!..

Mieczysław B...

Processowicze.

Szkic obyczajowy.

Przypadek zdarzył, że byłem świadkiem sceny, która swoją stroną moralną i malowniczą tyle wydała mi się śmieszną, i tak wiele znaczącą, że jak to często w takich razach bywa, myśl raz potrącona, wysnuła mi cały szereg dawnych wspomnień i nowych myśli, z których pomału wyrobił się obrazek, który tu daję czytelnikom moim czy na pożytek, czy na zabawę.

Byłem na tak zwanem Pokuciu, o którem gdzie leży każdy u nas wie, ale za to nie każdemu wiadomo, dla czego tak a nie inaczej się nazywa.

Nazwisko to stało się nawet powodem do kłótni historyczno-etymologiczno-uczonej między dwoma stronnictwami, z których jedno twierdziło że Pokucie nazywa się od miasteczka Kutów, drudzy zaś wyprowadzały je daleko romantyczniej bo od pokuty, utrzymując że tam nad Prutem, na Podgórzu podkarpackiem, był kraj wygnania, gdzie Rzym wysyłał za karę winnych obywateli swoich. Naturalnie obie strony nie przekonały się i zostały przy swoich zdaniach, w najsilniejszem przeświadczeniu o własnej głębokiej uczoności, i cała ta walka, wraz z wszystkiemi innemi etymologicznemi wyprawami za nowym światem, przebrzmiała i zamilkła na szczęście. Lub może raczej na nieszczęście, bo szczęśliwe były to przecie czasy, kiedy wystarczało nam sprzeczać się o pochodzenie b u t a lub g ę s i; snać nie ciężyło nam wiele na głowach i sercach.

Przepraszam za ustęp, i spieszę na Pokucie. A był to dla mnie kącik pełen pamiątek najmilszych, bo pamiątek lat młodości, lat swobody, myśli i uczuć wiośnianych. Dziwne to uczucie przychodzi sercu, gdy się zbliża do takiego miejsca, dawnemi pamiątkami uświęconego. Jest

w niem coś tak rzewnego, tak tęsknego i rzec by można religijnego, jak gdy się wchodzi do grobowej kaplicy, by oglądać pomnik znajomego. W takiem prawie byłem usposobieniu, gdy wieczorem, zostawiwszy konie w małej karczmie, szedłem piechotą ku dobrze znajomej mi wiosce. Nazwisko wioski zamilczę, bo niepotrzebne do rzeczy. Była to wioska, w której wiele, bardzo wiele bywałem razy, i wiele przepędziłem chwil miłych. Dwoje tam przed laty mieszkało sędziwych staruszków, z któremi łączył mnie nie tyle bliższy czy dalszy stopień pokrewieństwa, jak raczej uczucie szczególnej czci, jakie miałem dla ich siwych włosów a czerstwych jeszcze serc, a więcej może jeszcze dla tych wszystkich wieczornych pogadanek, w którym staruszkowie kolejno przy płonącym kominku, pod okiem rodzinnych twarz, patrzących na nas z portretowych ram, rozpowiadali mnie młodemu dzieje przeszłości. Cudne a niepowrotne chwile! bo w tych dziejach łączyły się zdarzenia prywatne i publiczne, bo wiał przez nie urok zdań czysto rodzinnych, bo ja sam nie rozczarowany jeszcze własnem doświadczeniem, słuchając ich patrzałem na życie, jak ono dziecko, stojące przed pierwszą książką z obrazkami. Szczęśliwszy byłem o całą rożnicę, jaka jest między życiem w obrazkach, a życiem, które samemu przebyć potrzeba, i text do obrazków pisać niejako własną stopą, zmęczoną po cierniach i nierównościach drogi naszego żywota.

Staruszkowie dawno już nieżyli, a wioska dawne gniazdo całej rodziny, która tam od dziada do wnuka się rodziła, żeniła i umierała, przeszła w obce ręce. I w jakie ręce, i jakim sposobem! Lecz w tej chwili nie myślałem o tem. Stałem na pagórku, i przy różowem świetle zachodzącego słońca, patrzałem na ten tak mi dobrze znajomy krajobraz, na te niwy, spuszczające się coraz niżej, aż ku Prutowi, którego woda tu i ówdzie łyszczała z pomiędzy drzew sadowych, które to skupione razem, to rozrzucone w pełnym wdzięku bezładzie, świadczyły że tam pomiędzy nie tuli się wiejska osada z swemi skromnemi chatami i skromniejszem nadto życiem, które jak jedno tak i drugie nikną w ogromie i przepychu większych świata zakresów.

Nie wiele wyżej z pomiędzy starych lip, tych odwiecznych przyjaciółek naszych dworów, sterował dach także słomiany starego dworca, siedziby moich nieodżałowanych staruszków. Tak samo jak dawniej, z pomiędzy dwóch lip wyższych nad inne, co stały na dziedzińcu, tworząc niby bramę zagrody, wyglądał wysoki komin, przedmiot nieraz młodych szyderstw moich. Tym razem nie rozśmieszył mnie już, ale rozczulił. Na samym rogu dachu sterczało coś jeszcze. Patrzę na to z uwagą. Są tam resztki jakby nagromadzonej słomy mierzwiastej, którą burzy coraz więcej wiatr wieczorny. To było niegdyś gniazdo bocianów.

Już go niema. Po śmierci staruszków były tam jeszcze, smutnie klekocząc długiemi dziobami, za odchodzącym wozem śmiertelnym. A gdy nowi wdarli się tam właściciele, stare bociany poleciały przez mgły jesienne, i już więcej nie wróciły. Dziwna to sympatja, która łączyła dawniej bocianów do naszych polskich dworzysk. Z góry skromnych strzech naszych patrzały na przyjezdnych, i były dla nich godłem niejako dawnego życia w Polsce, patriarchalnego i gościnnego.

Gdy tak patrzyłem i napatrzyć się nie mogłem, słońce zaszło, i cień wieczorna owinęła cały krajobraz, i choć nic już widzieć nie mogłem, widziałem przecie rozbudzoną myślą tyle cudnych, tęczowych obrazów. Nagle porwała mnie chętka odwidzić choć raz jeszcze w życiu stare to rodzinne domostwo, poszukać w niem śladów dawnego życia, i popatrzeć, czy się też w starym domie tak zmieniło, jak się wszystko na świecie zmieniło w koło mnie.

— Już wieczór pomyślałem, niepostrzeżony zbliżę się, i choć przez okno wejrzę do tej salki o piecu kaflowym, z polewaną na nim urną, i o tym kominku ogromnym, którego rzezane z kamienia ramy tylekroć podziwiałem. Serce zadrżało mi gwałtownie; żadna siła nie byłaby mnie wstrzymała. Jeszcze chwil kilka, i już stałem pomiędzy dwoma lipami. Pierwszy promień wchodzącego księżyca, zadrżał w dwóch łzach, co mi się z oczów dobywały.

Na dziedzińcu było pusto, zarosło, niedbale i obdarto. Stare budynki nienaprawiane nigdy, chyliły się do upadku, pokurczone i obdarte. Nigdzie żywej nie widziałem duszy, ludzkiego nawet nie słyszałem głosu, który przecie pod wieczór tak wesoło gwarzy po naszych zagrodach. Czyliż wszystko tu już wymarło? Żaden pies nawet nie zaszczekał, gdyrliwym głosem dowodząc czujności, co mu nie przeszkadza gościnnem kiwaniem ogona witać zbliżającego się gościa.

Zbliżam się do starego dworu; drzwi otwarte na oścież, sieni puste, zimne i niezamiecione, przywitały mnie jakimś oddechem wilgotnym, zbutwiałym. Nie zdybawszy nikogo, szedłem dalej, nie mogąc się oprzeć żądzy widzenia wspomnianej już salki. I wsunąłem się milczkiem i ukradkiem do kredensu, który dziś zupełnem stał pustkowiem, mając jeno ślady po ścianach, że kiedyś przypierały o nie szerokie szafy kredensowe. Tam była szafa wsuwana, przez której otwór podawano półmiski do salki.

— Może tamtędy wejść do salki! pomyślałem.

I zgadłem. Szafy niebyło, a otwór zakryty był kilimkiem starym i dziurawym. Usłyszałam głosy jakieś, pierwsze w tem pustem pomieszkaniu, podniosłem kilimek ostrożnie, i ujrzałem scenę, o której wspomniałem na wstępie.

W ramach wyciętego na ścianie otworu, scena ta wydała mi się istnym obrazem, a cała jego powierzchowność i oświecenie smutnej łojówki, nieucieranej, nadawały mu pozór obrazu szkoły flamandzkiej. I chwała Bogu, bo nie było nic polskiego w tej scenie w jej moralnem znaczeniu.

Na dreliszkowej, dosyć przetartej kanapce siedziała kobieta, już nie młoda, mimo widocznych usiłowań, by się wydała młodszą. Nie wiele wszakże pomagały te wszystkie usiłowania, próbowane nie zbyt zgrabnie. Twarz pomarszczona, buraczkowa, wyglądała z pod pudru białego, którym była z całą naiwnością posypana. Ruda peruka z mnóstwem drobnych loczków, pokrywała głowę, udając blond włosy.

Najtrudniej szło z obwisłemi policzkami, które nie dały się podnieść i zaokrąglić mimo wszelkiej staranności mimo nawet chusteczki, ciasno koło szyi owiniętej, która całej twarzy nie dodawała młodszego, ale więcej apoplektycznego wyrazu. To było śmieszne tylko. Za to wyraz oczów miał coś złowrogiego w sobie. Była w nich złośliwość, zawziętość i pożądliwość w całej swojej najnamiętniejszej objętości, bo była to pożądliwość za wszystkiem, pożądliwość bez granic, pożądliwość i ciała i myśli. Jednem słowem, na jej twarzy był wyraz typowy starej panny, która światu nie może przebaczyć, że jest nią dotąd, i walczy z nim dotąd o tytuł zamężnej, uzbrojona w nadzieję, silną wolę, i wszystkie żądze, które u starych panien często olbrzymieją w stosunku do przybywających lat.

Rzeczywiście była to stara panna Eulalia R. teraźniejsza pani i dziedziczka nadpruckiej włości. Urodziła się biedną i nieladną, co naturalnie przeszkadzało jej do zdobycia męża. Długie lata walczyla z nędzą, i z nieugaszonem pragnieniem posiadania majątku i męża. Przebyła wszelkie koleje najprzykrzejszej biedy, i wyniosła z tego życia nie rezygnacją ale złośliwą chęć zemsty. Los czy przypadek w postaci procesu, zrobił ją na starość właścicielką pięknego majątku, do którego weszła z chęcią odwetowania sobie lat, w ubóstwie i poniżeniu przepędzonych.

Lecz przerwijmy suchy opis, scena, którą odrysować myślę, odkryje nam lepiej całe jej usposobienie.

Oparty o kanapkę stał mężczyzna równego zapewne z nią wieku, i równej pretensji do młodości. Był to stary kawaler, pan Ignacy, który trzymał u niej dzierżawą połowę wioski. Twarz jego pozbawioną była wszelkiego wyrazu, prócz nosa w końcu zac e wienionego, który poświadczał zamiłowanie jego w ostrych trunkach. Oczy miał przymrużone, co było u niego małpowaniem elegancji i sposobem podobania się, bardzo wedle niego skutecznym; wyraz ten sentymentalny niby, doskonale odpowiadał jego długiej i chudej postawie, co wszystko razem robiło pana Ignacego prawdziwym rycerzem smutnej postawy.

Naprzeciw panny Eulalii siedział stolikiem oddzielolony drugi mężczyzna, którego powierzchowność w zupełnej była sprzeczności z twarzą i postawą pana Ignacego. Niski tłuściutki, pyzaty, żywy i wesoły, z perkatym noskiem, p. Piotr, jak się z rozmowy dowiedziałem, był mandatarjuszem. Dla większej sprzeczności obydwu mężczyzn, ubiór posesora był cały ciemny, gdy tymczasem pan mandatarjusz ubrany był kraciasto, jaskrawo i napuszasto.

Przy tym samym stoliku stała kobieta jakaś prosta, w stroju tamtejszego ludu. Stara już, zgarbiona, z twarzą śniadą, cygańską prawie, miała ona w oczach i całej twarzy wyraz szczególnej przebiegłości, którą oczy je iskrzyły się wyraźnie, gdy ukradkiem patrzyła na zebranych koło stołu państwa.

Na stoliku przed nią rozłożone leżały stare karty, dobrze zbrudzone i stłuszczone. Stara Marta, sławna w okolicy wróżka, ciągnęła kabały, o ile rzuciwszy okiem na tę scenę zmiarkować mogłem po palcu starej kobiety wyciągniętym, którym wskazywała kombinacje kartowe. Kabała na środku stołu rozłożona była środkowym punktem tej sceny, na który wszystkich uwaga prawdziwa czy udana zwrócona była. Już to w ogólnym tego obrazu wyrazie przemagało widoczne udanie, fałsz wszystkich twarzy, który mimowolnie tak przykre na mnie zrobił wrażenie, że uciekłem wzrokiem, by nim obejrzyć resztę dobrze mi znanego pokoju.

Jakoż postrzegłem że w głębi obrazu inne jeszcze były osoby. Przy kominku, na którym mimo pięknego wieczora jesiennego kilka polanek leniwym dopalało się ogniem, skulona na klęczkach dziewczyna, w stroju także ludowym, dmuchała na żar, przy którym skwirczały grzejące się fusy i śmietanka. Przy jaskrawem kominkowego ognia świetle spostrzegłem nareszcie siedzącego niedaleko od kominka staruszka, w skromnym stroju wiejskiego parocha. Na jego twarzy sędziwej, śniegiem długich wych włosów osypanej, był wyraz tak poczciwy, że aż mi serce zadrżało. To z jego twarzą dobrze mi znajomą przypomniała mi się para moich zmarłych staruszków. Nie było na tej twarzy wiele myśli, ale za to przebijało się w niej serce najpoczciwsze.

C. d. n.

Rozmaitość.

* **Pojedynek pod obłokami.** We wsi Dubliskach, w obwodzie Czortkowskim, miało miejsce widowisko, zasługujące na uwagę badaczów przyrody drapieżnych zwierząt. Z chaty, na kraju tej wsi położonej, kot, stary domownik, robił częste wycieczki na połów w przyległe pole. Jednego dnia, gdy przy tej chacie ludzie byli zajęci pracą, kot rozpocząwszy wędrówkę, ledwie oddalił się o kroków kilkadziesiąt od miejsca swojego pobytu, gdy usłyszano w górze szum jakby spadającego, rozdzierającego powietrze meteoru. Ujrzano lotem błyskawicy spadającego orła, topiącego szpony w kota, i unoszącego w górę nieszczęsną ofiarę. Ludzie przytomni tej scenie, spieszą na pomoc, krzyczą na całe gardło, rzucają w górę narzędziami pracy, ale na próżno, bo dumny zwycięzca krążąc tryumfalnie nad poziomem, unosi przeraźliwie krzyczącego jeńca coraz wyżej a wyżej, jakby na słońcu bankiet rozpocząć zamierzał. A gdy ścigającym go oczom coraz więcej karlał, i wydawał się ledwo małym punktem, w tem w wysokości ujrzano jakieś zamieszanie. Punkcik spadał prostopadle ku ziemi, a od tego punkta odrywa się drugi przedmiot mniejszy i obadwa w nieznacznej odległości spadają na ziemię. Ciekawi widzowie pospieszają na to miejsce i znajdują nieżywego kota, a obok niego z przegryzionem gardłem orlego trupa. Wnosić można iż gdy drapieżne ptaki częstokroć pochwyconą zdobycz w górę unoszą, a pobudzane drapieżnością zadają jeńcowi dziobem nielitościwe ciosy, unoszący swą zdobycz orzeł, chciał w ten sposób poczęstować chytrego i zwinnego kota. Ten mając na oku swego tyrana i korzystając z chwili, chwycił orła za gardło i w ten sposób pomścił się nad wrogiem, przewyższając znanych dotąd wszystkich szermierzy, bo z tych żaden tak wysoko po palmę nie sięgnął.

F. W.

* **Odkryta tajemnica domowa.** W Paryżu następujące opowiadają zdarzenie. Baron R. bogaty i dobrze urodzony, posiadał żonę na której twarzy były ślady dawnej piękności, i 18letnią bardzo przystojną córkę. Pewnego razu przychodzi do niego ajent policyjny, i oświadcza że mają posądzenie, jakoby w służbie barona ukrywał się sławny jakiś oszust, posądzony o wiele kradzieży i występków. Pan baron czuł się nieco urażonym i zaręczał za całą służbę swoją, którą jak twierdził znał doskonale. Nie mniej przeto zwołał wszystkie sługi swoje, i nie mało się ucieszył, gdy ajent policyjny nic znalazł poszukiwanego złoczyńcy. Ajent policyjny prosił jeszcze, aby mu przyprowadzono wszystkie sługi niewieście. Lecz

i między niemi nie znalazł się winowajca. Baron zaczął przedrwiwać z ajenta.

— I nie masz pan baron żadnej innej sługi.

— Jest jeszcze jedna młoda dziewczynka, ulubiona sługa żony mojej, która zawsze jest przy niej.

Na żądanie ajenta przyprowadzono młodą dziewczynę, która na widok jego zbladła nieposplicie. Ledwie ją zobaczył, zakrzyknął ajent: — To mój złodziej!

I rzeczywiście poszukiwany złodziej i szalbierz był przebrany za ową dziewczynę, ulubienicę samej baronowej. Łatwo pojąć, jakie to odkrycie zrobiło wrażenie na baronie.

Nowiny lwowskie

* **Wystawa rolniczo-przemysłowa** na ogólnem zgromadzeniu c. k. galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego, w dniach 7go 8go i 9go Lutego 1856. (Dokończenie).

Na osobnym stoliku widzieliśmy znaczną ilość gatunków kartofli. Kartofle te rozłożono w chaotycznym nieporządku, bez myśli, sprowadzającej wszelką rozmaitość do pewnego naukowego systemu. Jeżeli pan Lityński, jako właściciel, tej pracy niepodołał, to sądem naszym powinien mu przyjść w pomoc zarząd wystawy, a dzieląc kartofle naprzód na dwie grupy ogrodowych i polowych, te zaś na pospiechy i jesienne, a te znowu wedle wartości na mączne i wodniste, w końcu zaś, wszystkie wedle większego lub mniejszego usposobienia do gnilizny, i gdzie być może wedle kształtu i koloru, zestawić obraz nauczający interesowanych w kwestji, dziś najważniejszej w gospodarstwie wiejskiem. Wszak czemże innem ma być wystawa płodów rolniczych, jeżeli nie szkołą dla widzów, a szkołą nie będzie bez uporządkowania naukowego.

Nie mogąc mówić o przemysłowych płodach, których na tegorocznej wystawie wcale nie było, i pomijając relacją o innych płodach rolniczych, niezasługujących na uwagę, ani przez ilość ani przez rozmaitość, ani przez jakość; nadmienimy tylko rzecz o jedwabnictwie, wspieranym usilnie przez niezmordowanego adwokata p. Komarnickiego, tudzież o brukwi i rzepie pana Ludwika Skrzyńskiego. Nad temi przedmiotami radzibyśmy szanownego czytelnika cokolwiek dłużej zatrzymać, lecz nie dla kilku kokonów, nie dla pary skrętków surowego jedwabiu, ani dla tych aczkolwiek bardzo pięknych exemplarzy brukwi i rzepy, ale dla uznania pracy w dobrym kierunku podjętej i z całą wytrwałością przeprowadzanej.

Z rozlicznych bowiem sekcyj, zawiązywanych ku różnym celom, a wcielanych w ciężki organizm towarzystwa, jedna tylko sekcja jedwabnicza, reprezentowana, a o ile się zdaje ograniczona na osobę pana Komarnickiego, daje znak życia, i coraz nowszemi poglądami na sprawę, i nowemi radami ożywia od niejakiego czasu posiedzenia gospodarskie, i do pewnego naprzód wytkniętego celu prowadzi.

Taką samą podporę ma rolnictwo a nadewszystko przemysł rolniczy w osobie pana Ludwika Skrzyńskiego. Sprowadzanie z zagranicy maszyn, łatwych w użyciu dla nas, rozprawy, projekta, wnioski, i wszystkie zabiegi, cechowane są wyższemi dążnościami społecznemi, bo wszystkie oparł pan Ludwik Skrzyński na głównych filarach narodowego gospodarstwa, bo wszystkie wyprowadził z pojęcia rzeczywistych potrzeb, bo wszystkie uzasadnił na nauce i na jasno wytkniętym ostatecznym celu.

Sądem bowiem naszym będzie towarzystwo gospodarskie tylko na tych zasadach z korzyścią pracować dla kraju. Wartość każdej pracy, rośnie tylko w stosunku jej zbawiennego oddziaływania na ogół. Są to zasady wzięte z wielkiego magazynu pewników ekonomii politycznej.

Dla tych to zasad, nie powinno towarzystwo istnieć, działać, i postępować tylko w interesie własnym, nie powinno się zamykać w kole zaklętej liczby członków swoich, ale powinno przypuszczać ogół do korzystania z prac swoich. O ileż więcej znaczenia i popularności w kraju i za granicą nabrały by narady ogólnych zgromadzeń towarzystwa, gdyby wolno było redaktorom i korespondentom pism czasowych, uczęszczać na posiedzenia. Dokładniejsze opisy, jakiemi są dotąd dla braku stenografów sprawozdania komitetu z toku narad i głosów, zajmowanych przez członków w rozprawach, odrębny a wielostronny pogląd na sprawy towarzystwa, na tyle pożyteczne, dziś ogółowi nieprzystępne czynności, byłyby korzyścią na przyszłość nie do ocenienia.

O ileż więcej pożytku przyniosły-by zimowe wystawy płodów gospodarstwa wiejskiego, gdyby młodzież akademicka, gdyby cała publiczność interesowana mogła mieć wolny przystęp do oglądania onych; a że żadnych nauki i wiedzy nie brak, dowodzą wystawy letnie maszyn gospodarskich i bydła, przystępne dla publiczności.

Na tem pobieżnem zeszkicowaniu pojęć naszych o właściwem przyznaczeniu ogólnych zgromadzeń towarzystwa, o wystawie płodów rolniczo-przemysłowych, o zasługach członków towarzystwa, o oględności w uznaniu takowych, i w udzielaniu nagród, kończymy sprawozdanie, nie tracąc nadziei, że komitet towarzystwa tyle gorliwy o dobro kraju, tyle niezmordowany w pracy, zechce w nich uznać dobre chęci i wymaganie opinii publicznej.

Dobromysł Brona.

* J. Ex. główno komenderujący armią 4tą. hr. Schlick i Jenerał książe Lichtenstein mają na przyszły tydzień zjechać do Lwowa; Książę Schwarzenberg zaś wyjeżdża 25go b. m. do Wiednia.

* W kościele pp. Benedyktynek odbywa się przez cały post w piątek nabożeństwo, wraz z odpustem przez Ojca świętego naznaczonym.

* **Koncert pana Łapczyńskiego.** Śledząc postęp sztuki w całej Europie, zdaje się, że w jej dziejach niepoślednie przyznano nam rolę. Polskie imiona stoją tam często w pierwszym rzędzie, a ledwo jedno zagaśnie, już powstaje, nowe, młodsze pokolenie, idące śmiało naprzód po palmę zasługi. Jeszcze ostatnie dźwięki naszego Chopina nie przebrzmiały, już odżywa się nowy chór młodych naszych artystów. Zdaje się, że naród nasz ma dzisiaj sztuce dostarczyć nowych żywiołów, jak inne narody dostarczały żywiołów oświacie i cywilizacji. Już w Paryżu przyklaskują p. Fontanie, niemieckie dzienniki rozpisują się o polakach-artystach. Niedawno widzieliśmy między nami Biernackiego, dzisiaj słuchamy mistrzowskiej gry p. Łapczyńskiego, ucznia Drejschocka. P. Łapczyński przypomniał publiczności naszej scenę polską. Zebrana licznie publiczność przyklaskiwała z zapałem młodemu artyście, ziszczającemu najpiękniejsze nadzieje. W odegraniu koncertu Mendelsona podziwialiśmy w artyście głębokie przejęcie się duchem kompozycji, i czystem klasycznem oddaniem. W „inquietude" Drejschocka pokonał p. Łapczyński w zadziwiający sposób te ogromne, z prawdziwę delektacją nagromadzone trudności techniczne, w jakie zazwyczaj obfitują kompozycje tego mistrza. W „Nocturne" Chopina okazał się talent p. Łapczyńskiego giętkim i różnostronnym, bo w tej kompozycji pojął i zrozumiał koncercista wielkiego swego ziomka. „Sorcieres" Drejschocka zakończyły koncert i zjednały koncerciście kilkakrotne ze strony publiczności wywołanie. Istotnie podziwiać musimy pana Łapczyńskiego, iż w tak młodym wieku do tak wielkiej doskonałości doprowadził. To mniejsza iż jest samowładnym panem całej mechaniki fortepianowej. Ale spokój w grze młodzieńca najwięcej zastanawia i najświetniejszą rokuje mu przyszłość. Nie zrywa się, nie rzuca, nie brawuje, ale wszędzie zachowuje głęboki spokój artystyczny w grze. Epoka gry Lisztowskiej minęła, a nowa się rozpoczęła. Oto p. Ł. jako uczeń Drejschoka, dał nam wyobrażenie tego nowego kierunku. Przy tej sposobności czynimy jeszcze tę uwagę, że odegranie koncertu na pamięć daleko lepsze czyni wrażenie, niżeliby koncercista miał śród gry zajmować się czytaniem nut. Widzimy w tem postęp; bo aby gra odniosła pożądany skutek, potrzeba z pod oka widzow oddalić wszystko, co im mechanizm sztuki przypomina. Obszerniej o talencie p Łapczyńskiego po dalszych koncertach.

Fortepian ze składu pana Gromadzińskiego w wiolinie jak francuski, mocny, głęboki, dźwięczny, co przy wiedeńskich fortepianach bardzo rzadko się trafia, w basie jakoś się rozstrajał, zapewne z powodu świeżego przeniesienia.

Przyjechali od dnia 13. do 15. Lutego do Lwowa.

PP. Herman Łuc. z Rzepniowa. Biliński Jan z Huty. Żółtowski Jan z Buczacza. Nahujowski Jan z Kropiwnika. Smarzewski Jan z Tarnopola. Witwicki Jan z Podhajec. Stankiewicz Kaj. z Zelechówki. Kwiatkowski z Cisowa. Hr. Borkowski Bol. z Niżankowic. Czajkowski Jan z Boberki. Orłowski Jan z Rawy, Gopsevich Spird. z Krakowa.

P. P. Orłowski Hipol. z Olechowiec. Winnicki Hipol. z Hnilczy. Tyszarski Fel. z Martynowa. Pietrusiewicz Ant. Uniowa. Kniłowski Jan z Koniuszek. Czerniński Jul. z Glińska. Jordan Teof. z Nowegosioła. Solecki Leon z Brodów. Terleccy Tad. i Fel. z Skorodnego. Strutyński Józ. z Ladzkiego. Bertrand Jan z Tarnopola. Winnicki Tyt. z Nowosiółki. Petrowicz Fr. z Łaszek. Gottleb Fel. z Dołhomościsk.

Wyjechali od dnia 13. do 15. Stycznia ze Lwowa.

PP. Irzykowski Karol do Brzeżan. Badeni Al.hr. do Glinian. Gneiński Alex. do Krasnego. Skólimowski Tad. do Humieńca. Stecewicz Ferd. do Mościsk. Rejzner Fel. do Laszek. Treter Miecz. do Dźwiniacza. Osuchowski Jędrz. do Teleśnicy. Kraiński Edw. do Przemyśla. Hr. Kalinowski Wład. do Bakowiec. Hr. Borkowski Edw. do po Zielny. Bromirski Mich. do Rusina.

PP Ujejski Bronisław do Tarnopola. Br. Brunicki Jul. do Podhorzec. Zaklika Edw. do Przemyśla. Tretter Hil. do Łonia. Fedorowicz Al. do Żerebek. Kopczyński Ign. do Tarnopola. Krasucki Al. do Mostów. Czajkowski Hip. do Sarnek. Czajkowski Jan do Bóbrki. Krzyżanowski Jan do Kamionki. Urbański Rud. do Dobrosina. Obmiński Wikt. do Mycowa.

Lwów, 15. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 22 złr. 30 kr. do 30 złr. — kr. — Żyta po 16 złr. 40 kr. do 17 złr. 30 kr. Jęczmienia po — złr. — kr do — złr. — kr. Owsa po 8 złr. 45 kr. do 10 złr. — kr. Grochu po 27 złr. 30 kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 11 złr. — kr do 11 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 36 złr. 15 kr. — do 40 złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 29 złr. — kr. Cetnar siana 2 złr. 20 kr. do 2 złr. 25 kr. — Centnar słomy 1 złr. 50 kr. do 2 złr. — kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty — Złr. — kr. do 3 złr. — kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 15. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 105 złr. .	105¼	Pożyczka 5%	83¾
Hamburg za 100 tal. banco	77¼	Akcye banku	1036
Londyn za 1 funt szterl.,	10.17	Kolej północna	2470
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind. . , ...	76¾
Paryż za 300 franków .	122	Nowa pożyczka z loteryą	105
Agio duk. ces.	9¾	Pożyczka narodowa . .	85¼

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr. 4	kr.	55	złr.	5	kr	—
Dukat cesarski	„ 4	„	56	„	5	„	—
Półimperyał zł. rosyjski	„ 8	„	30	„	8	„	35
Rubel papierowy	„ 1	„	34	„	1	„	35
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„	38	„	1	„	39
Talar pruski	„ 1	„	31	„	1	„	35
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„	12	„	1	„	13
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„ 88	„	—	„	88	„	30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	75	„	15	„	76	„	—
5 proc. pożyczka narodowa	84	„	—	„	85	„	—
Śrebro	6	„	45	„	8	„	15

Do dzisiejszego numeru dołączony jest dodatek księgarski.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**